

Cyrk

Tadek gdzieś wypatrzył, że do nas cyrk przyjeżdża we środę. Cyrk to ja fiu, jak dawno widziałam. Na linie, pamiętam, jak chłop szedł, prościutki jak paw z makowej tąki pod lasem. W koszuli był, że go obciskała z każdej strony i błyszczała nam w oczach, ech błyszczała. Z błysku tego myśmy wszyscy głowy potracili i na następny tydzień po płocie dziadkowym łązić zaczęliśmy, że niby cyrkowcy jesteśmy. Babka nas pogoniła, jak wujcio Zbych, smarkacz wtedy, podał i kolana, i bistorowe rajtki, co mu na targu świeżo kupiła. Śni mi się nieraz, że idę i ja po linie wysoko, ponad dachem, wyżej topoli, idę i tak mi lekko wtedy, a spaść nie spadam, tylko dalej i dalej w górę.

Więc jak Tadek o cyrku oznajmił, to i zaraz się na decyzję zebrałam, że idziemy. Mały jak się nie rozchodzi ze szczęścia. I ciągle tylko o lwie gada, o kotach z ognia, że on do Afryki pojedzie i na lwa zapoluje.

Do środy zleciało szybko, bo Tadek sobie strój na lwa sprawić kazał. Żeśmy się uśmiali, jak wlaź w fartuch z Kowar jeszcze. Na głowę miskę od klusek nasunął, w rękę trzepaczkę do chodnika, i już go nie ma. Na dworze biegał do wieczora, a Janikową to wystraszył, że jej aż siatka z łap wyleciała. Słukła coś pewno drogiego, bo czerwona się zrobiła w moment i jak nie fuknie! A kto wie, czy ona nie gorsza bestia od lwa z buszu. Chłopca szybko do domu zawołałam, że zimno niby, to tylko mnie obrzuciła spojrzeniem dzikim.

We środę uwijałam się, coby do szesnastej skończyć z robotą. Zdążyliśmy w sam raz. Namiot wielki, chorągiewek pełno nawtykane, muzyka dudni, że pewnie i za rzekę słyszają. Wesoło mi się zrobiło i z Tadkiem za rękę dopchaliśmy się na sam przód. Dzieciak to aż mi parował podniecony, a i miskę zabrać musiałam, bo za nic hełmu swego myśliwskiego w domu zostawić nie pozwolił. Czekamy i patrzemy po ludziach. Gęby obce, popuchnięte z przejęcia. Naszło się wszystkiego, siedzą, krzywią się i co umyślają. Matki dzieciom buzie wycierają, jeden kicha, innemu dzwoni po kieszeniach.

Aż tu nagle świsnęło, łupnęło i nim się człowiek zdążył połapać, już na środku tańczy trzech, czterech, sześciu przebierańców z nosami prawie jak u Janikowej, w buciorach ogromniastych, a wygłupy im w głowie, to jeden drugiego szturcha, tamten siup na ziemię, leży już i przebiera nogami jak młody prosiak, to następny mu na plecy włązi i za ucho ciągnie. Tadek zdurniał, niewinności moja, na ratunek chciał zaraz biec. To ja mu tłumaczę, że to na niby, że oni tak rozbawić mamusię chcą. Coś załapał, bo i na śmianie mu się zebrało, ale rękę wciąż mi ścisnął, że drętwieć zaczęła. Zaraz te łobuzy ze sceny puciekały, a i oblać sikawką tysego w drugim rzędzie zdążyły, co się jego żona parsknęła! Patrzmy my dalej, co za dziwy. Naraz pieski, jeden za drugim równiutko wkoło skakać zaczęły, poubierane w serdaczki kolorowe,

jeden z falbanami nawet. I cuda wyczyniają! To na tylnej, to na przedniej łapie, to znów za kokardką na ogonie. Pocieszne i prosto z salonu, bo wyfryzowane jak panienki. Wzięłabym ja takiego. Stałby na regale i oczy cieszył, bo jak z cukru lukrowany. Tadziowi też się podobał, mówił, że on z twarzy do pani od geografii podobny. Ja tam nie wiem, może i podobny. Braw się pieski nasłuchały, aż uszami strzygły na wszystkie strony.

A dalej to, nie wiem skąd, pieski zniknęły, a na środku wyrósł drągal na dwa metry długi, w kapeluszu czarnym, co mu oczy całkiem zakrył i płachtą jak wywijać nie zacznie. Puch, gołąb wyleciał, puch, karta się wiję, po gołębiu ślad nie został, pióro jeno jakie. Jak mi w oczach się mieszało. „Mama, mama, czarownik” – gdzieś głos Tadka mnie dochodził, a tu już królik bieluchny skacze do nas, a uszy mu rosną długie, włochate. I czerwonymi ślepiami wgrza się w rękawy jesionki mojej. A może to Tadek szarpał, bo groza mnie naszła i coś chyba jęczałam, jak to mi się czasem w złym śnie trafi.

Lwa nie pamiętam, tylko koła z ognia wielkie jak gałki królika. Skrzyło się gorącem, pachniało naftą, pachniało jak w domu, gdy babka nocami czytała oparta o piec przy lampie i płakała przejęta losem, jak mówiła, ułanów, co kochali za bardzo. Kiedyś podpatrzyłam ją, gdy w noc jedną poszła z tą lampą do studni i szeptała w wodę czarną. Nazajutrz cicha chodziła, blada jakaś, cośmy wszyscy myśleli, że z babcinym zdrowiem niedobrze. Ja nikomu nie powiedziałam, że babka to tylko tego żołnierza w studni żałuje i pewno temu jej smutno.

Na wspominki mi się zebrało i z tego wszystkiego Tadka zgubiłam. Po lewej, gdzie siedział, teraz stoi damulka wypudrowana z włosami tapirowanymi na sztywno, a dzieciaka mego ni śladu. I wtedy, jak to się mówi, smród myślowy miałam. Bo jej włosy jak lwa grzywa, a my tu dla lwa głównie, to znaleźć lwa muszę, a i mój chłopiec będzie. Patrzę ja wkoło, gdzie ten lew, a tu krzacyska zewsząd wyrastają, pnączem wiążę, tchu brakuje z duchoty, mokro w powietrzu i, o anieli, krwią czuć świeżę.

„Mama się nie rusza, ja mamę ocalę!” – ktoś mi szepce za plecami jakby znajomo. Podskoczyłam w strachu cała, odwracam się, a tu przede mną linoskoczek w koszuli swojej błyszczą, a twarz Tadka mego ma, ale inną już, dorosłą, poważną, piękną twarz. Przed lwem mnie ratować chce, za ręce łapie i w górę, po linie uciekamy, ledwo co ją tkniemy, płyniemy, fruniemy po linie. Mój złoty synuś i ja, jego matka. I już nie słysząc ryków zwierza, nie ma muzyki, krzyki cichną i bębny. Wyżej i wyżej. Cyrk w guzik się zmienia, pieski jak pyłki kurzu, nosy klaunów znikają, zamyka się oko królika.